

ALICJA ŁUKAWSKA



DUCHY

KRESÓW WSCHODNICH

Wydawnictwo
von Borowiecky

DUCHY

KRESÓW WSCHODNICH

ALICJA ŁUKAWSKA

DUCHY

KRESÓW WSCHODNICH

WYDAWNICTWO *von borosiecky*
Radzymin 2018

© Copyright by Alicja Łukawska

© Copyright for this edition by Wydawnictwo von borowiecky, Radzymin 2018

Żadna część tej książki nie może być powielana ani rozpowszechniana za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych — bez pisemnej zgody autorów i wydawcy.

Redakcja: zespół Wydawnictwa von borowiecky

Korekta: Marta Sieciechowicz

Projekt i wykonanie okładki: Wydawnictwo von borowiecky

WYDAWNICTWO von borowiecky
05-250 Radzymin, ul. Korczaka 9E
tel./fax (0 22) 631 43 93, tel. 0 501 102 977
www.vb.com.pl
e-mail: ksiegarnia@vb.com.pl

ISBN 978-83-60748-18-5

Skład i łamanie: Wydawnictwo von borowiecky

Druk i oprawa: BOOKPRESS.EU, ul. Lubelska 37C, 10-408 Olsztyn

Spis treści

Wstęp	7
Rozdział 1. Duchy starego Lwowa	21
Rozdział 2. Duchy starego Wilna	31
Rozdział 3. Duchy Wołynia, Podola i Ukrainy	49
Rozdział 4. Duchy Litwy i Białorusi	103
Rozdział 5. Duchy Inflant	135
Rozdział 6. Strefy anomalne i miejsca mocy na Kresach	149
Rozdział 7. Święte kamienie Kresów	173
Rozdział 8. Wampir na Kresach	189
Rozdział 9. Charakternik	213
Rozdział 10. Znachor	221
Rozdział 11. Magnetyzm zwierzęcy na Kresach	231
Rozdział 12. Malarze transowi z Kresów	247
Rozdział 13. Kresowi jasnowidze i wróżbici	255
Rozdział 14. Mistycy polscy z Kresów	281
Rozdział 15. Wynalazcy i uzdrowiciele z Kresów	311
Bibliografia	325
Skorowidz osobowy	339

Wstęp

Rok 1943 to był dziwny rok, w którym rozmaite znaki na niebie i ziemi zwiastowały jakoweś klęski i nadzwyczajne zdarzenia — można powiedzieć, parafrazując początek *Ogniem i mieczem* Henryka Sienkiewicza.

Latem tego roku mieszkańcy polskiej kolonii (osady wojskowej) Karczunek Wołyński w powiecie włodzimierskim ujrzeli na jasnym, niebieskim niebie duży napis złożony z białych, drukowanych liter. Niestety, mimo że napis był bardzo wyraźny, to ludziom nie udało się go przeczytać, gdyż nie widzieli go wyraźnie pod słońce.

Po paru dniach wieczorem na ciemnym niebie widoczny był duży słup ognia, który świecił krwistą czerwienią na tle czarnego już nieba, później zaś ukazał się duży czerwony sierp i młot, co mieszkańcom Wołynia skojarzyło się, oczywiście, z symbolem znienawidzonego Związku Radzieckiego. Wkrótce potem pojawił się na niebie obraz przypominający ogromną ognistą miotłę, jaką na wsi robi się z brzoźowych różeg. Ludzie gadali, że to bardzo zły znak, bo ta miotła ich na pewno wymiecie.

Późną jesienią 1943 roku pojawił się ognisty słup ognia na ziemi. To paliło się gospodarstwo na obrzeżach Karczunku Wołyńskiego. Sąsiedzi natychmiast rzucili się z wiadrami z wodą, by ratować płonący dom i jego mieszkańców. Jednak kiedy ludzie z wioski dobiegli do zagrożonego budynku, płomienie nieoczekiwanie zniknęły. Pożar okazał się złudzeniem, wizją, rodzajem fatamorgany, nagle zniknął, jakby zapadł się pod ziemię. Potem okazało się, że właściciele budynku nic nie widzieli, nie czuli, a nawet się nie obudzili, całą noc przespali spokojnie aż do rana. Jednak ów niezwykle, widmowy pożar był zapowiedzią śmiertelnej zagłady, która miała nadejść zimą.

Atak bandy UPA na Karczunek Wołyński nastąpił 19 lutego 1944 roku i rozpoczął się właśnie od tego domu, który jesienią palił się owym dziwnym, widmowym płomieniem. Ale tym razem palił się naprawdę, podpalony przez banderowców, a ze środka dochodziły straszne krzyki i wycie nieludzko cierpiącego człowieka. To płonął żywcem właściciel domu, niepełnosprawny Ignacy Wenena, który miał

jedną nogę drewnianą. Wcześniej Ukraińcy połamali mu zdrową nogę i obie ręce, a potem wrzucili go w płomienie. Jego żona Aniela zdążyła uciec na początku napadu, schowała się przed napastnikami w ziemiance i dzięki temu przeżyła. Kiedy wyszła z ukrycia, okazało się, że całe gospodarstwo jest spalone. Nie znalazła nawet szczątków swojego męża, bo spalił się wraz z domem¹. Wcześniejsza wizja pożaru i inne znaki okazały się prorocze. „Ognista miotła” wkrótce wymiotła z Ukrainy nie tylko mieszkańców tej jednej wioski, ale prawie wszystkich mieszkających tam Polaków. Część z nich została zamordowana przez ukraińskich nacjonalistów, część przymusowo wysiedlona, reszta wyjechała „do Polski” sama, ze strachu przez banderowcami i nową, sowiecką władzą.

Polski na kresach wschodnich już nie ma. Jako zbiorowość żyjąca od 1945 roku między Bugiem a Odrą i Nysą Łużycką powoli zapominamy o tym, że w XVI wieku Rzeczpospolita Obojga Narodów była potężna i sięgała daleko na wschód, obejmując m.in. województwo wileńskie, trockie, połockie, witebskie, smoleńskie, mińskie, mściśławskie, nowogródzkie, brzesko-litewskie i jeszcze Księstwo Żmudzkie na północy. A później nasz stan posiadania na wschodzie zaczął się stopniowo kurczyć. Wschodnia granica przesuwawała się coraz bardziej na zachód, aż w końcu przyszły rozbiory i Polska na okres przeszło stu lat zupełnie zniknęła z mapy świata.

Ale jeszcze wciąż gdzieś tam na wschodzie Europy, wśród Łotyszy, Litwinów, Białorusinów i Rusinów mieszkali liczni Polacy. A potem przyszła I wojna światowa i bolszewicka rewolucja październikowa. Nadeszła ostateczna zagłada polskiej (i nie tylko polskiej) szlachty i ziemiaństwa, w imię okrutnej i krwawej rewolucji społecznej. Z tzw. dalszych kresów wschodnich uciekał, kto mógł, do „Polski”, tak jakby tam już tej Polski na wschodzie nie było i być nie mogło. Wśród tamtej pierwszej fali „repatriantów” byli tacy kresowi Polacy jak Zofia Kosak-Szczucka, Maria Dunin-Kozicka, Jarosław Iwaszkiewicz, Sergiusz Piasecki, Melchior Wańkowicz, Michał B. Pawlikowski, Mieczysław Jałowiecki i inni, którzy pozostawili po sobie liczne wspomnienia i pamiątki z dawnego życia. A kiedy Polska odrodziła się na nowo po I wojnie światowej, jej obszar na wschodzie był o wiele mniejszy niż w czasach Rzeczypospolitej szlacheckiej.

Ostatecznie, w wyniku I wojny światowej, rewolucji październikowej i jej negatywnych następstw utraciliśmy tzw. dalsze kresy wschodnie, które opłakiwano już

¹ Kowalczyk (Czerwieniec) Kazimiera, *Wspomnienia*, https://www.solidarnosc.org.pl/oswiata/.../1644_KOWALCZYK%20KAZIMIERA.pdf

w okresie międzywojennym. Natomiast po II wojnie straciliśmy resztę kresów. Polski już tam nie ma. Nie ma tam także Polaków, a jeśli są jeszcze jakieś niedobitki, to nie-liczne. Prawdopodobnie w sensie politycznym utraciliśmy te tereny na zawsze. Raczej nigdy już nie wrócimy na Kresy, a jeśli już, to najwyżej w charakterze sentymentalnych turystów szukających pamiątek po przodkach. Możemy tam być już tylko gośćmi.

A jednak ta utracona kraina trwa nadal w polskiej pamięci, tradycji i literaturze. Pierwsza fala kresowej literatury wspomnieniowej pojawiła się już w okresie międzywojennym, po utracie kresów wschodnich „dalszych”, z Dyneburgiem, Mińskiem, Słuckiem, Mozyrzem, Żytomierzem, Winnicą, Humaniem i Kamieńcem Podolskim. Po II wojnie światowej wspomnienia o kresach wschodnich były źle widziane przez peerelowskie władze. Swobodnie i bez cenzury mogły ukazywać się tylko na emigracji. Dopiero po 1989 roku nastąpił wysyp literatury pamiątkarskiej dawnych mieszkańców Kresów, wydawanej jawnie, w oficjalnym obiegu. Była to właśnie druga fala kresowych wspominków. Wtedy do świadomości społecznej zaczęły wkraczać indywidualne historie opowiadające o dawnym życiu na Kresach. Zaczęto też wówczas mówić głośno i pisać o niezliczonych zbrodniach banderowskich na Polakach, czyli o tym, że ukraińscy nacjonaści wymordowali na Ukrainie około 200 tysięcy mieszkających tam Polaków.

Kiedy czytamy kresową literaturę wspomnieniową, wyłania się z niej obraz krainy w dużym stopniu niezwyklej, pełnej różnych dziwów i niewyjaśnionych zjawisk paranormalnych, zamieszkałej przez równie niezwyklej ludzi, często oryginałów, ekscentryków i dziwaków. Duchy, zjawy, wiedźmy, wampiry i charakternicy, wiejscy znachorzy i różni mistycy to barwne postaci zaludniające dawne polskie Kresy, których mieszkańcy w większości wyznawali powszechnie wiarę chrześcijańską (katolicką i prawosławną), ale też wierzyli w magię, czary, liczne przesady i zabobony; z jednej strony modlili się przy krzyżach stawianych przy drogach i pielgrzymowali do licznych sanktuariów maryjnych, a z drugiej strony odprawiali prastare pogańskie obrzędy i rytuały, a szczególnie „dziady” ku czci zmarłych przodków. „Było wiele różnych dosadnych porzekadeł, przysłów i przepowiedni na każdą okoliczność oraz zabobonów. Byli znachorzy i babki odczyniające czary. Wierzono w dobre i złe duchy własnych domów i zagród oraz znano miejsca w okolicy, gdzie straszy. Na Zaduszki noszono na mogiły swoich najbliższych zmarłych jedzenie, a po pogrzebach wyprawiano stypy”².

² Piotrowski Czesław, *Krwawe żniwa. Zbrodnie ukraińskie na Wołyniu 1943*, Warszawa 2016, s. 54.

Kresy to także liczne miejsca nawiedzane przez dobre i złe moce oraz litewsko-ukraińsko-białoruski folklor ludowy, pełen opowieści o nadnaturalnych istotach gdzieś z zaświatów:

„Człowieka urodzonego i wychowanego na Ukrainie Naddnieprzańskiej, na Wołyniu czy Podolu otaczały, stale przypominając o swym istnieniu, tajemnicze siły przyrody i moce opiekuńcze, składające się na dziwny panteon, w którym pogańscy bożkowie sąsiadowali z Trójcą Świętą, Matką Boską, świętymi i... legendarnymi bohaterami opowieści ludowych”³.

Wszystko to razem tworzyło obszar niezwykle ciekawy i sprzyjało powstawaniu przekazywanych z pokolenia na pokolenie ustnych przekazów o duchach, zjawach i nawiedzonych miejscach. O tej ustnej tradycji kresowego opowiadania o duchach pisali już polscy romantycy, którzy — jako pierwsi — rzucili się do eksploatawania ludowych przekazów o zjawiskach paranormalnych. Kresowe motywy niesamowite pojawiły się wówczas w balladach Adama Mickiewicza, dramatach Juliusza Słowackiego, a także licznych ówczesnych opowiadaniach grozy osnutych jakoby na prawdziwych zdarzeniach (m.in. u Jana Barszczewskiego, Aleksandra Grozy, Henryka Rzewuskiego, Ludwika Szyrmera i Teodora Tripplina).

O dziwnych zjawiskach na dalekiej Ukrainie wspominał Antoni Urbański, autor książek opisujących utracone polskie rezydencje i dwory, które po pokoju w Rydze zostały po radzieckiej stronie granicy: „Jedziesz nocą po osrebrzonym promieniami miesiąca stepie i widzisz, jak na rozdrożu woźnica twój żegna się i mocniej konie zacina. Prędziej, prędziej, bo tu był niegdyś wisielec zakopany, tutaj *błud wodyt*. A na ten kurhan nie patrz o północy, bo ujrzysz cień dziewczyny zwodnicy, spływający na mogiłę zmarłego z jej winy kozaka. Takie były te wsie podolskie, rozrzucone na szlakach od Jahorlika i Koniecpola aż hen, ku Kamieńcowi”⁴.

Wiele lat później wtórował mu nieżyjący już, szczeciński profesor literatury Bolesław Hadaczek, który był rodem z Podola: „Podania o strachach wiązały się z dziką przyrodą, np. z Wrażym Uroczyskiem koło Dniestru, jego sterczącymi płytami kamiennymi niczym nagrobki na cmentarzu, gdzie nocami duchy przeklęte odprawiały swoje korowody, słyszano żałosne jęki, śmiechy i kwilenia dzieci. Czortowyj Jar był wąski i głęboki, gęsto zarośnięty po bokach, wypełniony

³ Serczyk Władysław, *Na dalekiej Ukrainie. Dzieje Kozaczyzny do 1648 roku*, Kraków-Wrocław 1984, s. 168.

⁴ Urbański Antoni, *Z czarnego szlaku i tamtych rubieży*, Warszawa 1928, s. 49.

czaszkami i piszczelami ludzkimi. W Jampolu przy ujściu Szumiłówki i na pobliskich Dniestrowych porohach słychać było o północy płacz wielki i stękania, a woda w poświacie księżycy wyglądała jak krew. Z ogromnych borów i bagnisk nad brzegami Suły nocami wychodziły upiory i wyły, a nad wodą dzwoniły dzwony. Podanie głosiło, że kto za długo patrzył na Nenasytcia, ten rozum tracił: tam nieraz z wirów wynurzały się długie ręce i chwytaly nieostrożnych, a wtedy mrozący krew w żyłach chichot rozlegał się w przepaściach śmiertelności poroha”⁵.

Pamiętnikarz i kresowy arystokrata Mieczysław Jałowiecki uważał, że nie ma innego kraju na świecie, z wyjątkiem górzystej części Szkocji, gdzie znajdowałoby się tyle miejscowości, z którymi wiążą się legendy i opowiadania o duchach i strachach, jak na jego rodzinnej Litwie:

„W naszej parafii pełno było miejsc, których unikano nocą jak zarazy. Straszyciło i u nas w Syguldyszkach, i na pobliskich mogiłkach, i na gościńcu koło pagórka, i na rzece Kiemeszcze, i na brzegach Jesiaty i Laumesty. Najbardziej bałem się jednak psów leśnych i dworu w Antokolu”⁶.

Interesujące były także okoliczności opowiadania o duchach. Trzeba pamiętać, że dawna kultura polska, to jest właściwie kultura sarmacka, oparta była na przekazach ustnych, czyli na gawędach. Czasy i warunki życia były inne niż obecnie. Nie było Internetu, telewizji i radia, a gazety i czasopisma dochodziły na Kresy z ogromnym opóźnieniem, jeśli w ogóle dochodziły. Różnie z tym zresztą bywało w różnych epokach. Na przykład w XIX wieku w pałacu Eweliny i Wacława Hańskich w Wierzchowni na Ukrainie prenumerowano dwa pisma paryskie, które docierały tam po paru tygodniach. Raz czy dwa razy do roku księgarze przysyłali z Paryża albo z Warszawy pakę nowości książkowych. W tej sytuacji jedną z niewielu dostępnych rozrywek na wsi były kameralne spotkania towarzyskie i rozmowy przy stole, prowadzone przez mieszkańców i rezydentów pałaców, zwłaszcza w jesienno-zimowe wieczory, kiedy śnieg zasypał wszystko wokół, albo była odwilż i straszne błoto. Na Kresach przez dużą część roku drogi były trudno przejezdne, a Polaków żyjących w swoich dworach i pałacach otaczał wokoło żywioł chłopski (Litwini, Białorusini, Ukraińcy). Bardzo trudno było o nowe, ciekawe twarze przy stole i interesujące towarzystwo przywożące wieści

⁵ Hadaczek Bolesław, *Historia literatury kresowej*, Kraków 2011, s. 199.

⁶ Jałowiecki Mieczysław, *Na skraju imperium*, wybór i układ tekstu Michał Jałowiecki, Warszawa 2000, s. 20.

z daleka. Kultura ustnego opowiadania kwitła także w sferach niższych, wśród służby i dworskich oficjalistów. Jednym z najciekawszych tematów do rozmowy było wówczas to, co dziwne, cudowne i fantastyczne. Opowieściom o duchach, zjawach i innych straszidłach sprzyjała dawniej nie tylko wielowiekowa tradycja lokalnych opowieści i ludowych wierzeń folklorystycznych, ale także zwyczajne warunki codziennego bytowania, na przykład częsty zwyczaj chowania zmarłych z rodziny w parku otaczającym pałac albo w specjalnie wybudowanej w tym celu kaplicy, a przede wszystkim brak światła elektrycznego.

Ówczesne kresowe rezydencje były zwykle dużymi, rozległymi budowlami, pełnymi wielkich salonów i mniejszych, zacisznych pokoików, ale też krętych korytarzy i różnych zakamarków. Takie domostwa, pozbawione centralnego ogrzewania i światła elektrycznego, oświetlane najczęściej świecami z wosku, lub tylko tanimi łojówkami, zamieniały się tuż po zmroku, o „szarej godzinie”, kiedy nie zapalano jeszcze światła, w miejsca, gdzie mogło nagle pojawić się coś niebezpiecznego i budzącego grozę. W tamtych czasach przerażająca wydawała się nawet zwyczajna wyprawa po jabłka na podwieczorek około godziny piątej po południu, kiedy trzeba było przejść przez cały ciemny dom do odległej komórki, gdzie je przechowywano, co zapamiętała z dzieciństwa w Beńkowej Wiszni Zofia z Fredrów Szeptycka, córka Aleksandra Fredry: „Deszcz lub śnieg bił w czarne okna, wicher wył w kominach, kurytarz tak długim, schody tak nieskończonymi się wydawały przy cieniach latarką utworzonych, że co dzień te same dreszczyki lęku przechodziły mnie...”⁷.

Wśród panujących wokół wieczornych i nocnych ciemności łatwo było uwierzyć, że oto do dworu przybył jakiś przybysz z zaświatów: duch, zjawa, zmora czy wampir. Mogła też ożyć groźna prababka z portretu, czego obawiano się np. w Kalużycach na Białorusi. Strach przed ową prababką doskonale opisał Melchior Wańkowicz w *Szczenięcych latach*, wspominkowej opowieści o dzieciństwie i młodości na Kresach. Mógł dać znać o sobie stukaniem duch przodka pokutujący w drewnianym sekretarzyku, zwanym też kantorkiem, jak to miało miejsce w IV części *Dziadów* Mickiewicza. O takim właśnie duchu pisał nieco żartobliwie Wańkowicz, relacjonując swoje wizyty na Kresach:

„Wnuczka jednego z Napoleonów Obuchowiczów (u nich to imię było tak często, jak w naszej kalużańskiej linii Melchior) opowiadała mi, że dziad co wieczór

⁷ Szeptycka z Fredrów Zofia, *Wspomnienia z lat ubiegłych*, Wrocław–Warszawa–Kraków 1967, s. 133.

wstając od kolacji brał ze sobą na talerzyku przekąskę i kieliszek starki na tak zwany podkurek. W pokoju jego stał sekretarzyk, który dzieci lubiły oglądać, bo był ozdobiony głowami zwierząt, rżniętymi z kości słoniowej. Otóż pewnego razu dziad przyznał się, że po śmierci ich babki, a jego żony, kiedy zapomniał się i nie zabierał się do podkurka, w sekretarzyku rozległo się pukanie, a kiedy je zlekceważył, powtórzyło się w sposób natarczywszy; zdumiał się wielce, wypił starki dla kurażu i przegryzł; pukanie się nie powtórzyło. Odtąd, ile razy nie przystąpił do podkurku we właściwym czasie, nieboszczka babunia pukała w sekretarzyku:

— Polek, pora, znaczy się, przekąsić..."⁸.

Wywodzący się z Kowieńszczyzny Zdzisław Chrzastowski, autor pamiętnika *Górne i durne*, wspominał w okresie międzywojennym, jak w jego rodzinnym dworze w Teodorowie jeszcze przed I wojną światową opowiadano sobie o duchach przy stole po kolacji. Słyszał wtedy m.in. historię o portrecie przodka-karmazyna Granowskiego, który to raz w roku zawsze musiał spaść ze ściany.

„Gdy noc wtuliła w szybę jadalnego pokoju swe czarne oblicze, a kurantowy zegar, skrzypiąc i pojękując, wyjąkał jedenastą — nastąpiła godzina duchów. Zaczęto przy herbacie mówić, że jednak „coś jest”, że nie darmo po Wołodkajciach chodzi nocami biała dama, a w Joclach straszy w bawialnym pokoju, że w Sagajliszkach konie ponoszą zawsze w jednym i tym samym miejscu, na rozstaju dróg przy mostku pod krzyżem. Okazało się, że „jest coś” i w Poszeszuwii, i w Botokach, i w Skaudwilach, że jest w Narkiszkach, w Juskiszkach i w Juskajciach, że to samo było w Łomlach, Gudelach, Wornoławkach, Kazimierzowie — w ogóle wszędzie. — Tak, „coś jest”... Tylko w Teodorowie — spokój, prócz tej historii z portretem...”⁹.

Na przełomie wieków XIX i XX do tych ustnych opowieści o zjawach z zaświatów dołączyło nowe zjawisko, czyli improwizowane w pałacach i dworach seanse spirytystyczne, które wzięły się z panującej wówczas mody na wywoływanie duchów przy okrągłym stoliku za pomocą talerzyka i planszety z narysowanymi literami alfabetu, albo tylko zwykłej ekierki. Urządzano je wówczas w całej Europie. Wśród Polaków wielkimi zwolennikami spirytyzmu byli m.in. lekarz i wynalazca Julian Ochorowicz, pisarz Bolesław Prus i malarz Henryk Siemiradzki. Seanse organizowano zarówno na wsiach, jak i w miastach. W Petersburgu, ówczesnej stolicy carskiego imperium, seansowano przede wszystkim wśród wyższych sfer

⁸ Wańkowicz Melchior, *Tędy i owędy*, Warszawa 1961, s. 91.

⁹ Chrzastowski Zdzisław, *Górne i durne. Na Murmań*, Łomianki 2014, s. 48.

arystokratycznych i w domach urzędników różnych ważnych instytucji. Bywali na nich także Polacy studiujący i pracujący w tym mieście. „Urządzał u siebie seanse spirytystyczne minister »sprawiedliwości« Szczegółowitow; słynęły seanse u sekretarza stanu Taniejewa, ojca słynnej *frejliny* (damy dworu) Anny Wyrubowej, tej, która »odkryła« Rasputina; liczni wtajemniczeni zbierali się u dyrektora Ermitażu, hrabiego Tołstoja. Inteligencja zawodowa i kupiectwo również chętnie nawiązywało łączność ze światem niematerialnego istnienia (...). Wszystkie te zebrania, na których większą część czasu siedziano kołem w ciemnym salonie, przywierając ciasno do siebie ramionami i udami, nastreżały moc sposobności do urozmaiconych dotyków wzniecających zupełnie ziemskie dreszczyki”¹⁰.

Mieczysław Jałowiecki w czasie pracy w administracji carskiej w Petersburgu bywał na takich spotkaniach w domu znanego oryginała i kolekcjonera antyków, księcia Kurakina. Na jednym z nich zmaterializował się podobno duch podoficera Sokołowa, który przepowiedział ze szczegółami, jak będzie wyglądała śmierć znanego syberyjskiego uzdrowiciela Grigorija Rasputina, który w tym czasie miał wielkie wpływy na dworze rosyjskim¹¹.

Wieczorki spędzane przy okrągłych stolikach były tak liczne, że niektórzy zaczęli później głosić, że to właśnie złe duchy, przybyłe z zaświatów w czasie nieprawidłowo przeprowadzonych seansów, spowodowały na świat katastrofalne nieszczęścia w postaci I wojny światowej i rewolucji bolszewickiej.

Michał K. Pawlikowski pisał, że wielką zwolenniczką spirytyzmu była pani Stefanowa Wańkowiczowa z Mińszczyzny, zaliczana do liczного grona kresowych ekscentryczek, która zajęła się tą działalnością, kiedy straciła ukochanego syna.

„W roku 1918, po tragicznej śmierci Morysia, oryginalizm pani Stefanowej zaostriżył się wzorem sir Artura Conan Doyle’a i innych ludzi, którzy stracili synów na wojnie i szukali sposobów skomunikowania się z duszami bliskich, ona — regionalistka i pozytywistka — przeszła na spirytyzm. Wykształcenie racjonalistyczne sprawiło, że do zagadnień spirytystycznych podchodziła w sposób naukowy. — Widzi Pan — mówiła do Tadzia jesienią 1918 roku — w ciągu ostatnich paru dziesiątków lat ludzie za dużo i za chaotycznie zajmowali się spirytyzmem. Seanse spirytystyczne odbywały się bez należytej powagi: ot, byle jak,

¹⁰ Korwin-Pawłowski Stanisław, *Wspomnienia. Na przełomie dwóch epok*, Warszawa 1966, s. 197.

¹¹ Jałowiecki M., tamże, s. 259.

najprędzej, byle jakiego ducha wywołać. Skutek był ten, że łącznie z pewną ilością duchów dobrotliwych, wywołano mnóstwo duchów złośliwych, czyli larw. To te larwy, sprowadzone na ziemię, mąciły i zatrwały dusze ludzkie, aż doprowadziły do katastrofy dziejowej, to jest do wojny i rewolucji”¹².

Joanna Puchalska, autorka książki *Kresowi Sarmaci*, przypomniała seans przeprowadzony w okresie międzywojennym we dworze rodziny Czarnowskich w Worończy niedaleko Grodna. Połużył do tego drewniany stolik wykonany bez użycia jednego choćby metalowego gwoźdźdza. „Pewnego razu zadano dość częste wówczas pytanie, czy będzie wojna. Odpowiedź padła, że tak. A kto pierwszy z rodziny w niej ucierpi? Okazało się, że Adam Czarnowski. Obie informacje stoliczka niebawem się sprawdziły”¹³. Jak wiadomo, wojna wybuchła w 1939 roku. W czasie niemieckiej okupacji bolszewicy partyzanci spalili dwór w Worończy razem z jego mieszkańcami. Z pogromu ocalał tylko jeden członek rodziny, właśnie Adam Czarnowski. Czyli wyszło tak, jak przepowiedziały duchy!

Prócz opowiadania o duchach i wywoływania ich na seansach spirytystycznych, powszechną rozrywką w kresowych domach były karty, z których korzystano nie tylko w przypadku gier hazardowych. Powszechnie bowiem kładziono kabałę (pasjanse), czego miłośnikiem był w okresie międzywojennym marszałek Józef Piłsudski, który spędzał nad nimi długie godziny. Używano też kart do zaglądania w przyszłość, do czego często służyły tzw. karty Lenormand, czyli talia, której autorką miała być jakoby słynna francuska wróżka z czasów epoki napoleońskiej, Marie Anne Lenormand.

O próbach odgadnięcia przyszłości z kart w burzliwym czasie rewolucji październikowej czytamy m.in. w pamiętniku Zofii Kossak *Pożoga* opisującym tragiczny koniec polskiego ziemiaństwa na dalszej Ukrainie. Kiedy zbuntowane rusińskie chłopstwo zaczęło palić i rabować polskie dwory, szlachta chroniła się w miastach. W grudniu 1918 roku, w czasie niemieckiej okupacji Ukrainy, na plebanii w Starokonstantynowie, w dawnym budynku klasztornym zebrali się grupa polskiego ziemiaństwa, uciekinierów ze wsi. Wśród nich była Zofia Kossak-Szczucka z mężem i dziećmi, a także jej matka Anna z Kisielnickich Kossakowa. Wiezorami wszyscy siadali przy stole i zabijali czas rozmową oraz kartami.

¹² Pawlikowski Michał K., *Dzieciństwo i młodość Tadeusza Irteńskiego. Powieść*, Łomianki 2010, s. 230.

¹³ Puchalska Joanna, *Kresowi Sarmaci*, Warszawa 2015, s. 332.

„Dla skrócenia czasu kładłam obecnym kabałę starymi kartami panny Lenormand. Wróżba nie szła dobrze, zazwyczaj pogodna, zaprawiona osobistym moim optymizmem, układała się dziś ponuro, jak wyjący wiatr za oknem i strasznie jak bajka dziecinna o strzydze. Czaszki i krzyże, rozłęki i łyzy, uparcie wypadały z mojej ręki na stół, aż zniecierpliwiona pomieszałam karty, chcąc stawiać na nowo, gdy na ulicy dał się słyszeć tętent. Oddział powracał. Drzwi się uchyliły i Stefan wsunął ośnieżoną głowę. — Zaraz przyjdę na herbatę, opowiem wam wszystko, tylko na minutę muszę iść do Niemców...”¹⁴. Kiedy Stefan Szczucki, mąż Zofii, wrócił, przyniósł nieoczekiwaną nowinę. Okazało się, że Niemcy za dwadzieścia minut ewakuują się z Ukrainy. Na stacji stał już pociąg wojskowy przygotowany do drogi. Szczucki także musiał opuścić rodzinę, bo pozostanie w Starokonstantynowie mogło narazić go na śmierć z rąk bolszewików, Ukraińców lub jakichś band. W tej sytuacji małżonkowie rozstali się. Stefan wyszedł nad ranem z miasta z oddziałem ochotników pod dowództwem rotmistrza Feliksa Jaworskiego, by konno przebijać się do Polski. Zofia nie chciała narażać maleńkich dzieci na zimno, głód i poniewierkę, została więc w mieście z matką. Wkrótce weszli tam bolszewicy i zaczęły się naprawdę ponure czasy dla Polaków. Szalała czerezwyczajka, odbywały się egzekucje, kontrybucje i rewizje w domach. Stara pani Kossakowa wraz z Zofią przebrały się w skromną odzież i udawały biedne krawcowe, bo wściekłość bolszewików skupiała się na przedstawicielach zamożniejszych warstw społeczeństwa. Czyżby karty ostrzegły wtedy Zofię, że nadchodzi złe chwile?

Dopóki na wschodzie trwała nieprzerwana od wieków tradycja polska, dopóty opowieści o rzeczach niezwykłych krążyły między ludźmi z ust do ust. Jeszcze na początku XX wieku wiele kresowych dworów i pałaców miało swoje wersje opowieści o duchach. Ale kiedy Polacy zostali stamtąd wypędzeni przez „ognistą miotłę” Stalina, kiedy rozjechali się w różne strony świata, historie te powoli ginęły. W wielu wypadkach zostały zupełnie zapomniane. Dawna legenda uleciała, zaś ślad po niej pozostał tylko w starych pamiętnikach, zapiskach lokalnych historyków czy zbieraczy regionalnych podań i baśni. Niektóre z dawnych historii przechowały się wyłącznie w starych polskich pamiętnikach, a pamięć o Polakach w danym miejscu zupełnie się zatarła i nawet śladu nie zostało ze stojącego tam niegdyś polskiego dworu czy rezydencji, jak np. Kalużyc Wańkowiczów czy Pućkowa Pawlikowskich na Mińszczyźnie. Gdzie indziej pamięć o dawnych duchach

¹⁴ Kossak Zofia, *Pożoga*, Kraków 2010, s. 132.

przechowała się do dziś. Pamiętają o nich potomkowie chłopów pańszczyźnianych, których przodkowie pracowali u polskich panów, jak np. w Nieświeżu na Białorusi czy Młynowie na Wołyniu. W niektórych miejscach, np. w Łoszycy pod Mińskiem, historia o polskiej samobójczyni, której duch podobno straszy w parku przy pałacu, została uznana za miejscową atrakcję turystyczną.

Niektóre paranormalne historie poprzez repatriantów z Kresów trafiły na Ziemię Odzyskane. Mieszkając wiele lat na tych terenach, słyszałam kiedyś od kogoś anonimową opowieść o duchu kobiety bez głowy ukazującym się gdzieś na Wołyniu. Jak się później okazało, mogło tam chodzić o słynną zjawę Rozalii Lubomirskiej z pałacu w Młynowie. Wśród repatriantów z Kresów dość długo i wbrew racjonalnym poglądom szerzonym w PRL-u utrzymywała się wiara w różne stare przesady i zabobony. Jeszcze kilka lat temu w Malborku, zamieszkałym w większości przez repatriantów z Wołynia i ich potomków, można było zobaczyć wózki dziecięce ozdobione dyskretnie przymocowanymi u wezłowia czerwonymi wstążeczkami, które — według dawnych wierzeń — miały chronić bezbronne niemowlę od uroków. Sprawa z pewnością zasługuje na szersze badania socjologów czy etnografów.

I jeszcze jeden przykład znany mi osobiście... Na przełomie wieków XX i XXI głośna była sprawa 14-letniej Weroniki Bierniukiewicz, w której obecności podobno latały w powietrzu nawet ciężkie przedmioty, takie jak garnki, pokrywki, butelki z napojami czy czajnik z wodą, a także same otwierały się drzwi szafek kuchennych oraz drzwiczki lodówki. Miało to miejsce w mieszkaniu babci dziewczynki w Malborku. Świadcami zdarzenia byli babcia i ojciec Weroniki, a także jedna z sąsiadek. Zjawiska te powtarzały się jakoby przez kilka tygodni, nie pomagały nawet wizyty wzywanych do domu księży i policjantów. Słyszałam tę opowieść z pierwszej ręki, bo rozmawiałam na ten temat z babcią dziewczynki Heleną Bierniukiewicz, którą latem 1998 roku odwiedziłam w jej mieszkaniu, gdzie miały miejsce te cuda. Starsza pani także przyjechała po wojnie z Wołynia i wierzyła w różne niezwykle zjawiska. Sprawa ta była szeroko opisywana przez ogólnopolskie media.

Szkoda, że dzisiaj zupełnie już nie wiemy, co działo się dalej ze zjawiskami paranormalnymi, o których kiedyś pisali nasi romantyczni twórcy, pełną garścią korzystający z kresowej fantastyki ludowej. Czy faktycznie jezioro Świteź, któremu Adam Mickiewicz poświęcił aż trzy ballady, jest miejscem tak dziwnym i tajemniczym, jak głosiły przekazy z początków XIX wieku? Czy na Kresach nadal leżą diabelskie kamienie? Co się stało z „nawiedzonymi” kresowymi zamkami i pałacami opuszczonymi przez Polaków po I i II wojnie światowej? A może na-

dal tam „coś” straszy? Jakie historie o duchach opowiadano i opowiada się nadal we Lwowie, Wilnie, Żytomierzu i Kijowie? Czy ludzie wciąż odprawiają pogańskie rytuały uzdrowicielskie przy kamiennym portalu na Grodzieńszczyźnie, który opisał Melchior Wańkowicz? Co się dzieje w tajemniczej, anomalnej strefie wokół Czarnobyli, który przecież leży na naszym dawnym Polesiu?

Mało kto u nas zdaje sobie sprawę, że także obecnie na tamtym terenie jest ogromne zainteresowanie wszystkim, co dziwne i niezwykle. Na Łotwie (dawne Inflanty Polskie) jest cała masa starych zamków i z prawie każdym z nich związane są legendy o zjawach i duchach, opowiadane przez przewodników turystycznych. Na Litwie i Białorusi pasjonaci Nieznanego tropią duchy w dawnych polskich rezydencjach, organizują wycieczki śladami duchów Wilna czy Rygi, szukają stref anomalnych i kamiennych megalitów. Wiosną 2016 roku w Mińsku pojawili się profesjonalni łowcy duchów. Firmę poszukiwaczy duchów założył niejaki Dymitr Nikulin, który zatrudnił aż osiem osób znających się na sprawach ezoterycznych. Przyjmowali zlecenie na oczyszczanie z duchów domów i mieszkań, biorąc za jedną wizytę 10 milionów rubli białoruskich.

Na Ukrainie największym paranormalnym hitem od paru lat jest pogoń za *czupakabrą*, mitycznym drapieżnym potworem, który jakoby okalecza i zabija domowe zwierzęta hodowlane. Zdaje się, że *czupakabra* zajęła miejsce dawnych baśniowych smoków, wampirów i wilkołaków. Dużym zainteresowaniem cieszą się ukraińscy znachorzy, uzdrowiciele i molfarzy (czarownicy z Huculszczyzny), a rekordy popularności biją programy w ukraińskiej telewizji typu „Bitwa ekstrasensów”, w których rywalizują ze sobą osoby obdarzone nadnaturalnymi zdolnościami.

Tematyką tej książki są nie tylko duchy, ale także różnego rodzaju zjawiska paranormalne występujące na Kresach. Wszystkie przytaczane tu opowieści i relacje są udokumentowane. W większości są to dawne przekazy ustne i pisemne, zanotowane w pamiętnikach i wspomnieniach, a także podania i legendy związane z nawiedzonymi miejscami, tajemniczymi osobami i zjawiskami. W niektórych wypadkach sięgnęłam także do współczesnych *urban legends* (miejskich legend), jakie do dziś krążą na wschodzie Europy.

Terytorium, jakie opisuję, jest dość rozległe i obejmuje obszar, na którym dawniej rozciągała się Rzeczpospolita: od morza do morza, czyli od Poługi i Rygi na północy do Akermanu i Odessy na południu, a także od Bugu aż po Berezynę na wschodzie.

Co mnie skłoniło do zajęcia się tematem zjawisk paranormalnych na wschodzie, na terenach, gdzie kiedyś była Polska? Ponad dwadzieścia lat penetruję

ludowe i historyczne opowieści o duchach i innych zjawiskach paranormalnych, a także zbieram książki o duchach w polskich zamkach i miastach. Zauważyłam, że nasze dawne tereny wschodnie zupełnie nie są opracowane pod tym względem. Czyżby brakowało odwagi, by zająć się tym tematem? A może brakuje źródeł? Ależ nie! Źródła też są, choć ukryte gdzieś głęboko w starych pamiętnikach i wspomnieniach. Spróbowałam je odszukać i na nowo przypomnieć czytelnikom.

Inna rzecz to moje zainteresowanie Kresami. Sama nie jestem z rodziny repatriantów, ale mieszkając wiele lat na Ziemiach Odyskanych, stykałam się z nimi, zwłaszcza z ludźmi, którzy przybyli z Wołynia i Wileńszczyzny. Nieżyjący już sąsiad „z góry” pochodził ze wsi spod Łucka, sąsiedzi z ogródków działkowych przeżyli dramatyczne chwile w obleganej przez bandy UPA polskiej wsi Przebraże na Wołyniu, a nasz proboszcz jest rodem z Nowej Wilejki. Języka rosyjskiego na studiach uczyła mnie lektorka, która pochodziła z Żytomierza, z rodziny „późnych” repatriantów, którzy przyjechali do Polski dopiero w latach 1960. Lepiej mówiła po rosyjsku niż po polsku, bo chodziła do rosyjskiej szkoły. Do dzisiaj mam w uszach kresowy zaśpiew jej wymowy. Wiele lat później spotkałam potomków Polaków wywiezionych w czasach Stalina, w ramach tzw. „operacji polskiej”, spod Żytomierza do Kazachstanu. Oni mówili już tylko po rosyjsku, ale po przyjeździe do Polski w latach 90. na nowo uczyli się języka ojczystego. I chyba właśnie stąd, z tych licznych spotkań i rozmów z tymi fascynującymi, barwnymi Kresowiakami, wzięła się moja fascynacja Kresami dawnej Rzeczypospolitej. Ci ludzie byli dla mnie namacalnym dowodem, że tam kiedyś Polska była. I to właśnie między innymi dla nich pisałam tę książkę.

Moja praca nie odpowiada na pytanie, czym są duchy i czy w ogóle istnieją jakiekolwiek zjawiska paranormalne. Sama nie wiem przecież, czy one są. Na szczęście, nigdy się z nimi nie spotkałam osobiście, choć przy okazji mojej pracy dziennikarskiej wysłuchałam wielu opowieści o nich, widziałam także miejsce, gdzie urządzano seanse spirytystyczne. Nigdy jednak nie brałam udziału w seansie wywoływaniu duchów.

Podkreślam, nie jestem „panią od duchów” ani żadnym egzorcystą, tylko interesuję się tym fascynującym tematem w sposób teoretyczny. — Nie wierzę w duchy, ale się ich bardzo boję — powiedziała kiedyś francuska markiza Du Deffand. I bardzo mi się podoba to stwierdzenie. Czuję bowiem respekt przed zjawiskami, których nie można pojąć rozumem.

A teraz — zapraszam wszystkich w podróż w czasie i przestrzeni na dawne polskie kresy wschodnie!

Rozdział 1.

Duchy starego Lwowa

Lwów to kolebka polskiego spirytyzmu. To właśnie tutaj mieszkała pani Malwina Gromadzińska, żona miejscowego krawca i pierwsza polska propagatorka nauk spirytystycznych, która zajęła się komunikacją z zaświatami w połowie XIX wieku, niedługo po tym, jak siostry Fox z Ameryki odkryły możliwość porozumiewania się z duchami za pomocą stukania w drewniany stolik. Była wówczas w rozpacz po śmierci swoich ukochanych dzieci, bliźnięt Lili i Pawełka, którzy odeszli z tego świata w wieku zaledwie kilku lat. Seanse spirytystyczne miały być dla niej ukojeniem i próbą kontaktu z nieżyjącym potomstwem.

Zebrania lwowskich spirytystów odbywały się co tydzień, zawsze w czwartki, w domu przy placu Mariackim, tam, gdzie później postawiono pomnik Adama Mickiewicza. W trakcie tych spotkań Gromadzińska pismem automatycznym zapisywała to, co jej dyktowały duchy z zaświatów. Podobno zmarłe dzieci dyktowały jej wierszyki pełne pocieszających wieści z zaświatów. W 1869 roku krawiec Gromadziński został wydawcą i redaktorem naczelnym pierwszego pisma o tematyce spirytystycznej w języku polskim. Nosiło ono tytuł „Światło Zagrobowe”, a w skład redakcji, oprócz małżeństwa Gromadzińskich, wchodziło wielu nieżyjących już dawno autorów, takich jak święty Stanisław Szczepanowski, francuski cesarz Napoleon I, Juliusz Słowacki i Tomasz Kajetan Węgierski, z którymi pani Malwina kontaktowała się przy wirującym stoliku.

Szalona popularność spirytyzmu rozpoczęła się zaledwie kilka lat wcześniej w marcu 1848 r., kiedy to w małym domku w Hydesville, w amerykańskim stanie Nowy Jork zaczęły rozlegać się tajemnicze hałasy, które przypisywano gościom z zaświatów. Mieszkające tam siostry Katie, Leah i Margaret Fox wypracowały metodę porozumiewania się z duchami za pomocą stukania w stolik. Artykuły prasowe o spirytyzmie pojawiły się w dziennikach angielskich i niemieckich już w 1852 r. Raport z pierwszego seansu we Francji ukazał się 27 maja 1853 r.

w paryskiej gazecie „La Patrie”. Na przełomie maja i czerwca tegoż roku pisała już o tym cała prasa francuska. Seanse spirytystyczne urządzali francuscy artyści i literaci, m.in. Victor Hugo, autor *Nędzników*. W 1857 roku ukazała się we Francji słynna *Księga duchów* Allana Kardeca, późniejsza biblia spirytystów.

A już w latach 60. XIX w. zaczęła swoją działalność pani Gromadzińska we Lwowie. To właśnie we Lwowie, w czytelni katolickiej, w roku 1920 został wygłoszony słynny odczyt księdza doktora Kazimierza Waisa na temat spirytyzmu, który później został wydany w postaci książkowej. Autor rozwodził się w nim o tym, czym są zjawiska spirytystyczne towarzyszące komunikowaniu się z duchami:

Zjawiska te, odbywające się przede wszystkim podczas seansów, czyli posiedzeń spirytystycznych, są dwojakie: fizyczne i intelektualne. Do pierwszych należą: pukanie, szelest, szmer, trzask, łoskot, dźwięk instrumentów muzycznych (...) Nieraz osoby biorące udział w posiedzeniu, czują po twarzy lub rękach chłodny powiew, który w pewnych wypadkach obniża ciepłotę ciała o kilka stopni. Czasem ukazują się iskry, ogniki, światełka, płomienie. Kiedy indziej stoliki wirują nie tylko wtedy, gdy biorące w posiedzeniach osoby trzymają na nich ręce, lecz także po usunięciu rąk; podobnie wykonywają różne ruchy krzesła, komody i szafy. Bywa też, że media i przedmioty, nawet bardzo ciężkie, podnoszą się w górę (lewitacja), lub że zawieszone na ścianie przedmioty spadają na ziemię. Innym razem mamy tak zwane aputy, polegające na tym, że w przestrzeniach zamkniętych ni stąd, ni zowąd, zjawiają się np. kwiaty, łakocie, owoce, kamienie, kawałki drzewa lub węgla. Jeszcze ciekawsze są (znane od r. 1860) zjawiska materializacji duchów: w czasie posiedzeń pokazują się małe lub wielkie, grube lub chude, białe lub czarne stopy, nogi, dłonie, ręce, głowy lub nawet całe ludzkie postaci. (...) Wreszcie do zjawisk fizycznych należy zaliczyć zmianę temperatury, wywołaną w rzeczach bez widocznego powodu, zmianę ciężaru medium lub przedmiotów (przedmioty ciężkie stają się lekkimi, a lekkie ciężkimi) oraz przenikanie materii¹.

W mieście nad Pełtwią działali również inni polscy badacze zjawisk spirytystycznych jak przyjaciel Bolesława Prusa, wynalazca i naukowiec Julian Ochowicz (prototyp postaci Ochockiego z powieści *Lalka*), który później zasłynął

¹ Wais Kazimierz, *Spirytyzm (Odczyt, wygłoszony we lwowskiej „Czytelni Katolickiej” w lutym 1920 roku)*, nakładem „Przeglądu Teologicznego”, Lwów 1920, s. 12–13.

warszawskimi seansami spirytystycznymi z udziałem włoskiego medium Eusapii Palladino, hrabia Wojciech Dzieduszycki, matematyk i parapsycholog Lucjan Emil Boetther, autor książki *Problemat życia pozagrobowego* oraz Józef Świtkowski, autor znanej książki *Okultyzm i magia w świetle parapsychologii*. To stamtąd właśnie pochodzili Stefan Grabiński, autor niezwykłych opowiadań grozy, zwany polskim Lovecraft'em, Stanisław Lem, ceniony na całym świecie pisarz *science fiction* i generał Michał Tokarzewski-Karaszewicz, który w życiu prywatnym był przywódcą polskich teozofów, a jego działalność zainicjowała sceny z „wielkim trzynastym”, przywódcą kobiecej sekty okultystycznej w głośnej powieści *Kariera Nikodema Dyzmy* Tadeusza Dołęgi-Mostowicza.



Maryla Wolska. Źródło: Wikipedia.

We Lwowie jedną z najbardziej uzdolnionych medialnie osób była młodopolska poetka Maryla z Młodnickich Wolska (1873–1930), która w młodym wieku, jako kilkuletnie dziecko, samodzielnie odkryła niezwykle właściwości leszczynowego pręta, który zastępował jej czarodziejską różdżkę z baśni. Dzięki temu wprowadzała się w stany transowe i oglądała rzeczy niewidzialne dla innych. Podobno już jako niemowlę próbowała wykonywać rączką koliste ruchy jakby wierciła nią powietrze. W wieku kilku lat brała do prawej ręki żelazny pogrzebacz, wchodziła na jakieś podwyższenie, np. na stołeczek, podnózek lub schodek i zaczynała nim kręcić. I wtedy, zupełnie bez udziału woli „zaczynało się jej myśleć”. Przed jej oczami przesuwwały się różne obrazy, a ona opowiadała głośno, co widzi. Wydawało się jej, że każdy tak potrafi i wcale nie kryła się ze swoimi praktykami.

Pierwszą prawdziwą magiczną różdżkę zrobiła sobie w wieku kilku lat. Był to leszczynowy drążek równej grubości i długości dwadzieścia dwa centymetry. Oba końce ociosała nożykiem. Do jednego z nich przymocowała nitką kawałek białego, sztywnego papieru szerokości półtora centymetra. Nadała mu kształt płomienia. Musiał układać się od strony prawej do lewej, dokładnie na wysokości jej oczu. Chwytała różdżkę na wysokości czterech palców od dołu, a kciukiem podpierała ją od dołu. Później wierciła powietrze od spodu, miarowo, dokładnie, wpatrzona z napięciem w papierowy płomyk. Kiedy tylko wzięta do ręki swoje berło, a ramię dobrze przycisnęła do boku, czuła mrowienie najpierw w samej tylko dłoni, potem w przedramieniu, później w całym ramieniu aż do łopatki. Był to prąd, który płynął przez nią, trochę kłujący, ale bezbolesny. Kiedy dobrze rozkołysała swoje „kręcidło”, była już w transie. Widziała dalekie krajobrazy, ludzi w strojach z dawnych epok, rozmaite rzeczy, których znać nie mogła. Był to kolorowy, niezwykle natłok wydarzeń i scen, które czasem opowiadały jakąś historię, a innym razem po prostu przepływały przed nią, nie dbając o jakąkolwiek narrację. W tym czasie słyszała słowa wypowiedane w obcych językach. Trans mijał natychmiast po wypuszczeniu czy zwolnieniu uścisku trzymających drążek palców i strumień obrazów urywał się nagle. Prawdziwy świat wydawał się potem płaski i szary. Dziewczynka potrzebowała paru minut, aby wrócić do rzeczywistości. Jakiś czas czuła jeszcze zawroty głowy i odrętwienie prawego ramienia, przez które przepływała tajemnicza siła.

Maryla Wolska używała „kręcidła” nie tylko do wprowadzania się w trans. Zdarzało się, że zastępowało jej czasem okulary. Miała bardzo słaby wzrok. Chorowała na kurzą ślepotę i po zmroku nic nie widziała. W Monachium badał ją pewien słynny profesor okulista. Pokazał ją swoim studentom, bo nigdy wcześniej nie spo-

tkał się z tak dziwną budową oczu. Z medycznego punktu widzenia powinna być ślepa! Gałki oczne były u niej z tyłu płaskie, a nie zaokrąglone jak u innych ludzi. W półmroku jej oczy robiły się czerwone, co wyglądało dość upiornie.

Młoda poetka posługiwała się różdżką do czasu swego ślubu z przemysłowcem Wacławem Wolskim. Praktycznie nastawiony do życia narzeczony, jeden z twórców galicyjskiego zagłębia naftowego, obawiał się szamańskich transów przyszłej żony. Dlatego też, zaraz po zaręczynach, stanowczo zażądał, aby ostatecznie skończyła z „kręcidłem”. Zakochana dziewczyna zgodziła się na ten warunek. Oddała mu swoją ostatnią leszczynową pałeczkę. Jednak rozstanie z odmiennymi stanami świadomości nie było łatwe. Ponieważ do tej pory strumień fantazji i widzeń towarzyszył jej niemal stale, po zaprzestaniu wchodzenia w trans czuła się jak palacz czy pijak odzwyczajany od nałogu. Chwyciła więc za pióro i zaczęła tworzyć poezję.

Kiedy jesienią 1939 roku Lwów został opanowany przez Sowietów, wielu mieszkańców miasta uciekło na zachód na tereny zajęte przez armię niemiecką. W ten sposób spora grupa lwowian znalazła się w pobliskim Przemyśle, gdzie także urządzano seanse spirytystyczne, podczas których szukano odpowiedzi co do przyszłych losów Polski. Świadkiem takich spotkań organizowanych w salonie jego rodziców był w młodości Przemysław Bystrzycki, syn wydawcy książek. Pisał później, że w trakcie seansu wygaszano światło elektryczne. Pokój mógł być oświetlony wyłącznie woskowymi świecami. Uczestnicy siadali przy okrągłym, wirującym stoliku, na którego blacie wypisywano kredą litery alfabetu. Najczęściej wywoływano do odpowiedzi ducha marszałka Józefa Piłsudskiego.

Pytany Marszałek wykazywał iście litewski upór, milczał. Lepszy był południowiec Napoleon, jeszcze lepszy polski Kościuszko — zagadywano o przyszłość, o datę powrotu do domu, kiedy Polska powstanie, o zdrowie bliskich. Brałem w tym udział. Do czasu, aż spostrzegli, że kręcę białym, albo pcham talerzyk. Tak skończyło się moje uczestnictwo w profetycznym misterium — wspominał Bystrzycki².

Spirytyzm był tak popularny wśród Lwowiaków, że próby kontaktowania się z duchami podejmowali oni nawet podczas przymusowych wywózek na Sybir i do Kazachstanu, organizowanych przez władze radzieckie. Czytamy o tym

² Bystrzycki Przemysław, *Wiatr Kuszmurunu*, Radzymin 2009, s. 46–47.

w pochodzącym z tamtej epoki, zamieszczonym w Internecie *Pamiętniku Ewy*, którego autorka opisywała codzienność Lwowa zajętego przez Armię Czerwoną w 1939 roku oraz dalsze tragiczne losy mieszkańców tego miasta.

Nas, wygnańców, ogarnęła mania urządzania seansów spirytystycznych, wróżenia z kart, z rąk, za pośrednictwem astrologii, z daty urodzenia i imienia, a w szczególności, tłumaczenia snów.

Podczas jednego z tych seansów, urządzonego u pani Kolhepowej, wywołano ducha przywódcy polskiej endecji, Romana Dmowskiego. Pytano go, czy Polakom uda się wyjść z sowieckiej niewoli. Duch odpowiedział: „Wszyscy uratujecie się. Nie wrócą tylko starcy, tacy jak Wodzicki.” — wspominała Ewa pobyt na zesłaniu w okolicy wsi Urdżar w Kazachstanie, w czerwcu 1941 roku. Kiedy duch Dmowskiego zapowiedział śmierć starego hrabiego Wodzickiego, seans został natychmiast przerwany. Ale Wodzicki, który wraz z rodziną mieszkał na wygnaniu u Kazachów w strasznych warunkach, w jakiejś brudnej izbie przerobionej z chlewa dla świń, zmarł dwa dni później. I w ten sposób wygnańcy nabrali szacunku dla duchów, bo przepowiednia z zaświatów spełniła się co do joty³.

Zaś po II wojnie światowej, Polacy wygnani ze Lwowa urządzali seanse spirytystyczne także tam, gdzie zostali przesiedleni, czyli głównie na Ziemiach Odzyskanych. Tym właśnie sposobem lwowskie duchy zjawiały się na seansach we Wrocławiu, Gorzowie Wielkopolskim, Gdańsku czy Bytomiu. Przeprowadziły się tam wraz z tymi, którzy wzywali je na seansach przy okrągłych stolikach.

Z wieloma lwowskimi budynkami związane są przekazy o gościach z zaświatów. Za najbardziej nawiedzony przez duchy dom starego Lwowa uchodzi tamtejszy ratusz. Wiąże się z nim legenda o czarnej trumnie, która sama po schodach chodziła. Pierwszy ratusz w tym mieście został wybudowany na rynku w XIV wieku. Budynek parokrotnie padał pastwą pożarów, był też kilka razy przebudowywany. Obecna forma ratusza w stylu wiedeńskiego klasycyzmu pochodzi z XIX wieku. W dawnych wiekach przed ratuszem znajdowało się miejsce kaźni przestępców, został tam m.in. ścięty bojar mołdawski Stefan Tomsza oraz kozacki watażka Iwan Podkowa. Pierwszy raz o „chodzącej trumnie” usłyszano w XVI wieku. Pewnego razu, dokładnie o północy, w gmachu lwowskiego ratusza pojawiła się trumna,

³ *Pamiętnik Ewy*, pamietnik-ewy.blogspot.com/.

która sama, bez niczyjej pomocy przesuwiała się w powietrzu, odwiedzając kolejne sale. Wędrowała także po schodach, czyniąc przy tym niesamowity hałas. Zjawa trumny pojawiała się przy różnych okazjach. Bardzo bali się jej dozorczy, którzy musieli spędzać noc w tym budynku. Chodzącą trumnę słyszeli nawet w swoim pokoju na wieży ratusza. Jej tajemnica wyjaśniła się dopiero w połowie XIX wieku, kiedy to jeden z lwowskich ławników odkrył sądową pomyłkę prawną sprzed lat. Podobno po raz pierwszy trumna pojawiła się z powodu niesprawiedliwego wyroku sądowego, kiedy to sędziowie zgromadzeni w lwowskim ratuszu skazali na śmierć niewinnego człowieka. To właśnie duch powieszonego, niewinnego człowieka przypominał za pomocą tej trumny władzom Lwowa, że złamały zasady sprawiedliwości. W końcu, po wielu modłach i kropieniu sal ratusza wodą święconą, zjawa trumny znikła na dobre. Ale „trumna, co po schodach chodziła”, przez wiele lat przypominała lwowskim sędziom, by sądzili sprawiedliwie.



Lwów. Kościół Dominikanów,
akwaforta Władysława Skoczylasa. Źródło: Wikipedia.

Za nawiedzony uchodził także kościół pojezuicki pod wezwaniem świętych Piotra i Pawła zbudowany w latach 1610–1635 na wzór głównej świątyni jezuitów *Il Gezu* w Rzymie. Podziemia tej budowli są sporo starsze, bo powstały w wiekach XII–XV. Właśnie z podziemiami tej świątyni wiąże się podanie o widmie Czarnego Mnicha. W XVII wieku do tutejszego klasztoru jezuitów przybył mężczyzna, który złożył zakonnikom dużą ofiarę pieniężną. Chciał tu zostać jako mnich. Złożył śluby zakonne, miał jednak problem z ich wypełnieniem. Zwłaszcza ślub posłuszeństwa był dla niego trudny do spełnienia. Nowy mnich nie chciał poddać się klasztornej dyscyplinie, a do tego buntował innych przeciwko władzom

zakonnym. Za karę został zamknięty w podziemnej celi pod kościołem. Pewnego razu odwiedził go nieznajomy mężczyzna. Był bardzo blady na twarzy i ubrany w czarny strój. Kiedy długo nie wychodził, jeden z zakonników zajrzał do celi. Nie było tam nikogo, a na ziemi leżał spisany krwią pakt z diabłem, czyli cyrograf, w którym mnich oddawał swoją duszę diabłu. Od tamtej pory w podziemiach kościoła jezuitów pojawia się widmo Czarnego Mnicha, które szuka owego tajemniczego rozmówcy. W tym celu zaczepia spotkanych ludzi i pyta, czy nie widzieli nieznajomego mężczyzny, bo chciałby unieważnić tamten cyrograf. Według innej wersji, mnich po prostu przepadł w podziemiach pod kościołem, a w jego celi znaleziono spisany krwią pakt z diabłem.

Powiadają, że kościół Bożego Ciała i Klasztor Dominikanów we Lwowie jest nawiedzony przez ducha dominikańskiego zakonnika. Pierwszy kościół dominikanów we Lwowie (XIII wiek) był drewniany, potem spłonął, później w tym samym miejscu wybudowano nową świątynię w stylu barokowym. Znajdował się tam słynny czarny krucyfiks i łaskami słynący obraz Matki Boskiej Zwycięskiej (obecnie ta relikwia znajduje się w kościele dominikanów w Gdańsku). Po II wojnie światowej, kiedy Lwów został Polsce odebrany, Sowieci urządzili w kościele skład cementu, zaś w klasztorze dominikańskim muzeum ateizmu. Po rozpadzie ZSRR kościół został przekazany Cerkwi Grekokatolickiej, zaś w dawnych budynkach klasztornych jest muzeum religii. Współcześni pracownicy tegoż muzeum skarżą się, że budynki są nawiedzone przez duchy. Wielokrotnie widziano tutaj nocą widmo mnicha w białym habicie z czarnym krzyżem na plecach. Zjawia odwiecza jakoby takie miejsca, jak piwnica, a także pomieszczenia zamurowanej biblioteki. Mimo, że nikt z żywych nie ma tam dostępu, często słysząc stamtąd głośnie kroki oraz stukot maszyny do pisania. Prócz tego, w budynku mają miejsce inne zjawiska paranormalne, np. nocami rozlegają się stare pieśni śpiewane po łacinie. Opowiadano też, że gromadzone w muzeum książki same spadają z półek. Podobno duch mnicha uaktywnił się w latach 90. ub. wieku, zaraz po tym, jak odkopano kościelne podziemia. Jego działalność jest jakoby na tyle dokuczliwa, że współcześni ochroniarze boją się nocą chodzić po tym kościele.

Opinię nawiedzonego domu ma willa „Piwonia” na lwowskiej Pohulance. Z domem tym wiąże się popularne w tym mieście podanie o demonicznej *femme fatale*, pięknej kobiecie, która wyglądała na niespełna trzydzieści lat, jednak w rzeczywistości była o wiele starsza. Naprawdę jednak nie była człowiekiem, lecz wampirem, gdyż swoją wieczną młodość i piękno zawdzięczała czerpaniu

sił witalnych od kolejnych kochanków, którzy po pewnym czasie seksualnego obcowania z nią umierali z wyczerpania.

Historię właścicielki tej willi opisał Stefan Grabiński, polski pisarz z okresu międzywojennego, autor fantastycznych opowiadań „z dreszczykiem”. Według jego wersji, przekazanej w tekście pt. *W domu Sary*, w okolicach roku 1910 w willi „Tofana” (zmieniona nazwa) na Polance (też zmieniona nazwa) mieszkała Sara Braga, piękna szlachcianka hiszpańskiego pochodzenia. Zakochał się w niej młody lwowski adwokat. Po dwóch latach związku z Sarą adwokat zaczął tracić siły i zdrowie. Sprawą zainteresował się jego przyjaciel, lekarz psychiatra, który postanowił dociec, co mu dolega. W tym celu przeprowadził śledztwo, które ujawniło, że kochanka adwokata wysysała siły żywotne z mężczyzn, z którymi sypiała. Zawdzięczała temu wieczną młodość i urodę. Lekarz odkrył, że wcześniej miała co najmniej sześciu kochanków, którzy w ten sposób stracili życie. Była też znacznie starsza, niż na to wyglądała: „Sara Braga! Sara Braga!... Z nazwiskiem tym już raz się w życiu spotkałem, chociaż osoby nie znam. Sara Braga... tak!... Teraz przypominam sobie jak przez mgłę; wyczytałem je w spisie pacjentów mego byłego mistrza, prof. neurologii, Fr. Żmudy, temu lat kilkanaście. Byłem wtedy jeszcze młodym adeptem medycyny. Kopię spisu na szczęście zachowałem: rejestr był mi potrzebny, bo zawierał obok nazwisk diagnozę i środki terapeutyczne chorób. (...) Otworzyłem szafkę biblioteczną i zacząłem przerzucać gruby foliał. Szedłem latami wstecz, nie bardzo dowierzając pamięci. Nagle pod datą z miesiąca lipca i następnych z roku 1875 odczytałem: »Sara Braga, zamieszkała w willi *Tofana* na Polance, ur. w r. 1830, lat 45 — organizm wyjątkowo odporny na przemiany wieku — skłonności psychopatyczne na tle seksualnym — objawy psychicznego sadyzmu«”⁴. Grabiński pisze w swym opowiadaniu, że wiadomości o demonicznej Sarze były nawet w Starym Testamencie. Po śmierci adwokata piękna wampirzyca zaczęła nastawać na lekarza, ten jednak bał się z nią współżyć, gdyż nie chciał skończyć jak jego poprzednicy. Pozbawiona dopływu życiowej energii kobieta zaczęła się gwałtownie starzeć. Historia willi „Piwonia” z Pohulanki funkcjonuje we Lwowie jako legenda miejska i naprawdę trudno dziś dociec, co było pierwsze: tekst Grabińskiego czy też lwowskie plotki o demonicznej kochance adwokata. Niestety, nie ma już tego budynku na Pohulance. Wiele lat stał pusty i zrujnowany. W końcu został zburzony, a na jego miejscu postawiono już inny dom.

⁴ Grabiński Stefan, *W domu Sary*, literat.ug.edu.pl/grabin/0012.htm.

Kolejny z „nawiedzonych” adresów we Lwowie to budynek przy ulicy Iwana Franki numer 152, który został zbudowany na początku XX wieku dla ukraińskiego pisarza Iwana Franki, który przez całe życie marzył o własnym domu i w końcu się go doczekał. Jednak zbudowano go w strefie geopatycznej. Wcześniej były tam bagna. Miejsce to było obdarzone złą energią i nie nadawało się na lokalizowanie tam domu mieszkalnego. Pisarz nie był tam szczęśliwy. Jego żona, Olga Fiodorowna, chorowała tam na schizofrenię, zaś on sam cierpiał na nieuleczalny wówczas syfilis, który w końcu stał się przyczyną jego śmierci. Przed śmiercią miewał halucynacje i twierdził, że prześladują go dusze zmarłych, które wchodziły do jego domu, a potem siadają na jego łóżku. Podobno do dzisiaj w tym domu można spotkać ducha ukraińskiego literata.

Za miejsca nawiedzane przez duchy uchodzą także słynny lwowski Cmentarz Łyczakowski, Wysoki Zamek (widywano tam jakoby zjawy Polaków zabitych przez Kozaków Maksyma Krzywonosy w czasie powstania Chmielnickiego w 1648 roku), dom przy ulicy Wieczornej, w którym niegdyś psy zjadły właściciela (podobno do dzisiaj słychać tam dziwne dźwięki, wycie i warczenie psów) oraz kościół pw. św. Wojciecha, gdzie widywano podobno zjawę księdza z Najświętszym Sakramentem i ducha kościelnego. Goście z zaświatów przestraszyli żołnierzy armii austriackiej, którzy urządzili w tym kościele magazyn. Z kolei w dawnym klasztorze jezuitów, gdzie później była Izba Skarbowa, ukazywał się jakoby duch zakrystiana.

Rozdział 2.

Duchy starego Wilna

W Wilnie, dawnej stolicy Wielkiego Księstwa Litewskiego, można znaleźć wiele miejsc uważanych za nawiedzone. Najciekawsze są te związane z fatalną miłością polskiego króla Zygmunta Augusta i Barbary Radziwiłłówny, a także ich duchami, które podobno do dziś nie opuściły miasta nad Wilią.

Słynny romans młodego polskiego króla z Barbarą, wdową po zmarłym wojewodzie nowogródzkim Stanisławie Gasztołdzie, zaczął się latem 1543 roku na zamku w Gieranonach, w posiadłości należącej do masy spadkowej po Gasztołdzie, uważanym za jednego z najbogatszych ludzi w całej Rzeczypospolitej. Po jego bezpotomnej śmierci całe mienie wygasłego rodu miało zgodnie z ówczesnym prawem przejść na rzecz skarbu państwa (ale nie skarbu Polski, tylko Wielkiego Księstwa Litewskiego).

W tej sytuacji król Zygmunt I wysłał do Gieranonów swego syna i następcę Zygmunta Augusta, by na miejscu załatwił skomplikowane sprawy spadkowe. Zygmunt August był wówczas mężem Elżbiety Habsburżanki, młodziutkiej, chorej na epilepsję księżniczki austriackiej. Piękna, wesoła, litewska wdówka zachwyciła go swoją urodą i bezpruderyjnym zachowaniem. A może zwyczajnie, sprytna piękność po prostu błyskawicznie uwiodła Zygmunta, by nie tracić majątku po pierwszym mężu? Nie była jednak taka święta, jak ją przedstawiano w tekstach literackich z XIX wieku. Współcześni jej kronikarze opisywali ją jako osobę rozpustną. Ksiądz Stanisław Górka nazywał ją „wielką nierządnicą” i „wielką kurwą”, Andrzej Górka podał



Barbara Radziwiłłówna.
Źródło: Wikipedia.

nazwiska jej 38 kochanków, z którymi zadawała się, nie licząc Gasztołda i króla, zaś Stanisław Orzechowski pisał: „Wałęsają się tu i ówdzie ludzie, którzy się tarzali lubieżnie z tą Taidą. Senator, szlachcic, bogaty, biedny, znany, nieznany, nawet braciszek klasztorny, mieszczanin, wieśniak, masztalerz, każdy, kogo uważano za wprawnego w uprawianiu łajdactw, u niej uprawiał rozpustę nawet wbrew swej woli”¹.

Nic więc dziwnego, że spotkawszy taką kobietę król Zygmunt August bez wyraźnej potrzeby przedłużał w nieskończoność swój pobyt w Gieranonach. Oficjalny powód był taki, że na Litwie panuje zaraza, która nie pozwala mu na podróż do Krakowa. Nie zabrał też z Gieranonów całego majątku po zmarłym Gasztołdzie, wielka część masy spadkowej trafiła z powrotem do wdowy po nim. Tajemny romans



Wilno. Zamek Górny i Dolny.
Źródło: Wikipedia.

króla i wdowy Gasztołdowej miał swój dalszy ciąg w Wilnie, gdzie kochankowie mieszkali osobno, ale spotykali się nocami. Plotkowano, że piękna Litwinka, aby zdobyć serce króla, posiłkowała się pomocą wiedźm i znachorek, których pełno było na dworze Radziwiłłów w Wilnie. Zdaje się, że w pierwszej fazie znajomości z królem zażywała leki poronne, a później, kiedy już chciała obdarzyć go potomkiem, środki wywołujące płodność.

Kiedy w 1545 roku zmarła zaledwie 19-letnia Elżbieta Habsburżanka, pierwsza żona Zygmunta Augusta, powiadano, że to właśnie Barbara maczała w tym swe paluszki. „Nagły zgon młodziutkiej królowej spowodował pogłoski krążące tak w kraju, jak za granicą, że Elżbieta została otruta za sprawą Radziwiłłówny”².

Po jej śmierci kochankowie bawili się wesoło. Król organizował na cześć swej kochanki liczne uczty, bale, maskarady i polowania. Żyli oboje radośnie i intensywnie, nie licząc się z opinią publiczną. Rodzina Radziwiłłów napierała na ślub, chcąc widzieć swą krewniaczkę na tronie. W 1547 roku Zygmunt August potajemnie

¹ Kuchowicz Zbigniew, *Barbara Radziwiłłówna*, Łódź 1976, s. 96.

² Kuchowicz, *ibidem*, s. 133. Autor cytuje Kolankowskiego, *Zygmunt August Wielki Książe Litewski*, Lwów 1913, s. 321.

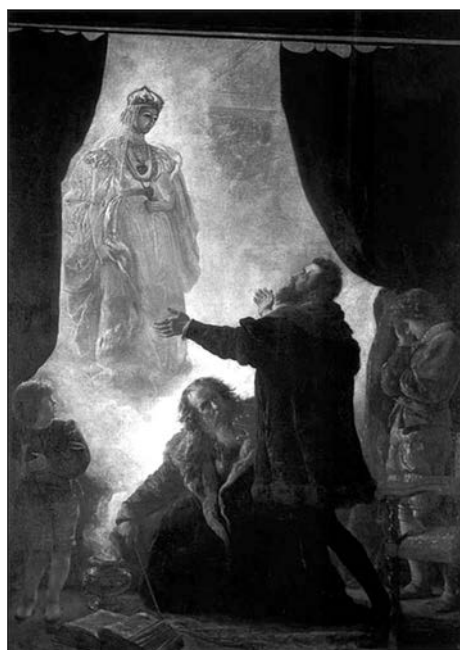
ożenił się z Barbarą, a później wymógł na polskim sejmie, by jego małżonka została koronowana na królową Polski. Zaraz potem piękna Litwinka zachorowała nagle na tajemniczą chorobą i po ciężkich męczarniach zmarła 8 maja 1551 roku. Do dziś nie wiadomo, co było powodem śmierci Barbary. Nikt nie wie, czy piękna królowa zmarła na raka, czy na syfilis, czy też została otruta z rozkazu teściowej, Bony Sforza. Po śmierci Barbary zrozpaczony król pochował ją w katedrze wileńskiej obok pierwszej żony Elżbiety Habsburżanki. A później dniami i nocami marzył o zmarłej Barbarze. Bardzo pragnął choć raz jeszcze ją zobaczyć na tym świecie.

Jak doszło do pierwszego w polskiej historii seansu spirytystycznego? Na życzenie Zygmunta Augusta ducha Barbary miał wywołać słynny renesansowy czarnoksiężnik, czyli mistrz Twardowski. O to, kim był ów tajemniczy człowiek, toczą się spory do chwili obecnej. Jedni uważają, że był Polakiem, inni zaś, że był Niemcem i nie nazywał się Jan Twardowski, ale Laurentius Durus. W każdym razie ów czarnoksiężnik czy też alchemik podjął się zadania pokazania królowi widma zmarłej ukochanej. Nie ma zgodności, gdzie odbył się ów seans. Być może na Wawelu, jak chce Joachim Possel (lekarz króla Zygmunta III Wazy, który po latach opisał tę historię), być może w Warszawie, jak pisał Jan Giza, a może w Wilnie, jak podaje Władysław Zahorski w książce *Podania i legendy wileńskie*?

Według opowieści Zahorskiego, król ulokował mistrza Twardowskiego w Wilnie, w zamkowej baszcie od strony rzeki Wilii:

Ściany niedużej izby sklepionej były pokryte ciemnymi osłonami i jakimś tajemniczymi hieroglifami. Przy jednej ścianie stały na dywanie cztery spore kadzielnice, a przed nimi w pewnej odległości fotel dla króla. Mrok panujący w izbie ledwo rozpraszały dwie świece woskowe w wielkich czarnych świecznikach. W środku pokoju na stole okrytym czarnym ze srebrzystą frędzlą suknem leżała laska czarnoksiężnika, oraz wielka w skórę oprawna księga pergaminowa, zawierająca rozmaite zaklinania i formuły wywoływania czarta i osób zmarłych. Wzruszony Zygmunt August zajął miejsce w przygotowanym dla niego fotelu, zaś Twardowski, włożywszy na się długą o szerokich rękawach czarną szatę z białymi na niej znakami kabalistycznymi, zapalił w kadzielnicach kadzidło i rozwartszy księgę, rozpoczął zaklinania, wzywając ducha Barbary, by zstąpił na ziemię i ukazał się oczom swego małżonka. Z kadzielnic zaczęły podnosić się kłęby białawego dymu. Nerwy króla wskutek trwożnego oczekiwania i tajemniczości otoczenia były w wysokim stopniu napięte; wpatrzony przed siebie zapomniiał król o całym

świecie. I oto wśród obłoków kadzideł zarysowała się postać niewiasty i zaczęła przybierać coraz wyraźniejsze kształty, aż przed oczyma Zygmunta ukazała się Barbara. Biała, niemal przezroczysta, stała z opuszczonymi rękami, łagodnym smutkiem znaczoną twarz miała zwróconą ku małżonkowi, a oczy jej miłośników patrzyły. Król, zapomniawszy obietnicy, z okrzykiem zerwał się z siedzenia i, wyciągnąwszy przed siebie ramiona, chciał się rzucić ku ukochanej, ale Twardowski powstrzymał go, a tymczasem widzenie rozwiało się. Zygmunt August padł na fotel i zakrył twarz dłońmi, a głucho łkania wstrząsały jego piersią³.



*„Pan Twardowski wzywa ducha Barbary Radziwiłłówny”. Malował Wojciech Gerson.
Źródło: Wikipedia.*

Do wywołania ducha Barbary mistrz Twardowski użył prawdopodobnie swego tajemniczego czarodziejskiego zwierciadła, które do dziś można oglądać w kościele parafialnym w Węgrowie na Podlasiu. Nie wiadomo, czy królowi naprawdę ukazał się duch ukochanej, czy też była to idealnie do niej podobna, zupełnie realna kobieta, czyli Barbara Giżanka, którą wyszukali królowi bracia Jerzy i Mikołaj Mniszchowie. Odegrała ona najpierw rolę ducha nieżyjącej Radziwiłłówny, a potem została królowi podsunęta jako nowa nałożnica.

Jak było, tak było, w każdym razie, król Zygmunt do końca życia chodził ubrany na czarno, w żałobie. A nawet po śmierci miał jakoby ukazywać się jako duch w miejscach, gdzie rozkwitała jego

wielka miłość do Barbary. Legenda głosi, że zjawę Zygmunta Augusta widywano przez parę wieków, m.in. na szczycie Góry Zamkowej w Wilnie, w Ogrodach Radziwiłłowskich i w Kaplicy Królewskiej w katedrze wileńskiej.

Jeszcze inne podanie mówi, że pamięć o Barbarze Radziwiłłównie na zawsze pozostała w Wilnie, a to dzięki temu, że to właśnie jej rysy ma słynna Matka Boska

³ Zahorski Władysław, *Podania i legendy wileńskie*, Gdańsk 1991, s. 74.

Ostrobramska wyobrażona w postaci pięknej kobiety na słynnym obrazie religijnym. Taką hipotezę przedstawił Zbigniew Kuchowicz w książce *Wizerunki niepospolitych niewiast staropolskich XVI–XVIII wieku*, gdzie twierdził, że „na fakt podobieństwa legendarnej Madonny wileńskiej do Barbary Radziwiłłówny zwrócili uwagę polscy historycy okresu dwudziestolecia (*nota bene* z kręgów katolickich)”⁴. Był to np. profesor uniwersytetu wileńskiego Juliusz Kłos, który w przewodniku po Wilnie pisał, że obraz ten można zaliczyć do szkoły włoskiej z połowy XVI wieku, a do tego dopatrzył się w nim uderzającego podobieństwa twarzy Matki Boskiej do portretów Barbary Radziwiłłówny. Na wzmiankowane podobieństwo wskazywał w tamtych latach także ksiądz Piotr Śledziwski, według którego „...typ Madonny Ostrobramskiej jest uderzająco podobny do portretu królowej Barbary Radziwiłłówny (...) Ten sam nos, ta sama broda i usta, te same oczy i oczodoły, ta sama budowa ciała”⁵. Wokół tego spostrzeżenia toczyła się dyskusja w latach międzywojennych. Ostatecznie ustalono, że obraz powstał nie w czasach, kiedy żyła Barbara Radziwiłłówna, ale znacznie później. Co jednak nie wyklucza faktu, że jego twórca mógł jako inspirację potraktować jeden z portretów Barbary Radziwiłłówny.



Obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej z Wilna.
Źródło: Wikipedia.

Za jedno z najbardziej nawiedzonych miejsc w Wilnie uważany jest kościół pod wezwaniem świętego Jana Chrzciciela i świętego Jana Apostoła i Ewangelisty.

⁴ Kuchowicz Zbigniew, *Wizerunki niepospolitych niewiast staropolskich XVI–XVIII wieku*, Łódź 1972, s. 89.

⁵ Tamże, s. 90.